

Patoemat (fragment)

Daniel Kamocki*

Przed Państwem stoi słodziutki chłopiec:
– „Jam Jacuś Majtek, a ten tu kopiec
Na wierzchniej stronie puszcza dwa bratki.
Zaś pod nim leży trup mego tatki,
Wygięty w geście delirium tremens,
Z mordą zdziwioną, że pelen kredens
Tylko przypadkiem zrobił fikolek,
Dając jej barwę — taką jak fiolek,
Z raną czerwoną, broczącą silnie
Zadaną w czaszkę butelką mylnie,
Bo miała pęknąć w toastów salwie
Wzniesionych papie przez tłumy larwie
Przejęte wspólnym wódki odorem.
Mój papo z nosem o linii torem
Węża esicy leży pod ziemią,
Gdzie zwłoki innych bliskich mych drzemią.
I doszło do mnie, co uczynilem,
Podle mi teraz wśród was żyć będzie,
Bo głos sumienia przemówi wszędzie;
Gryźć mnie wyrzutem będzie po ciebie,
Po moich drobnych rączkach, co wiele
Dźwigać musiały na co dzień w znoju
Zlewek i drewna, i pełnych gnoju
Wiader cynkowych — z kanalizacją

* Absolwent Uniwersytetu Łódzkiego i Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, e-mail: danielkamocki91@gmail.com.

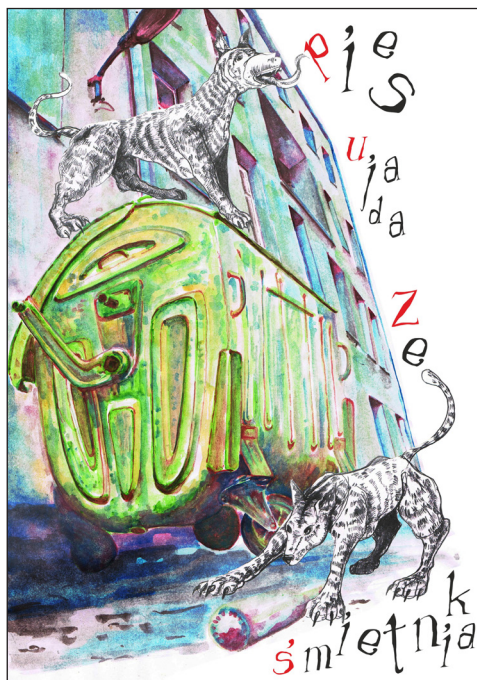
Był zawsze problem. Zresztą z kolacją
Nikt też nie czekał, więc w każdy wieczór
Zmęczony pracą głodum już nie czuł,
Padalem w wyrko i nawet wtedy,
Miał śnić spokojnie zwinęty w bety,
Oko i ucho otwarte miałem,
Nad pobudkami ojca czuwałem,
By nóż stalowy, z którym naćpany
Chodził i ciął nim długie firany,
Krzyżąc, że na nich jest mysie stado,
W nim wywołuje gorączkę błądą,
Nie trafił w któreś z nas tu leżących;
Tyle mych serce trosk wskroś palących
Przeżyć musiało w dzieciństwa czasie
I nie wiem teraz, czy upora się
Ze znojem bicia w mordercy ciele.
Wprawdzie awantur w mym domu wiele,
To tylko jedna klótnia w ten sposób
Się zakończyła, że z dwójki osób
Jedna się żywa rankiem ostała.
W trosce, by sprawa się nie wydała,
Przyjąłem wersję: wskutek padaczki
Męczącej papę, koniec utarczki



Nadszedł w tej chwili, gdy tatuś orla
Pierwszego wyrznął i z swego gardła,
Zamiast strumienia „chujów i kurew”,
„Ja was zajebię” i „stajesz mi wbrew,
Ty skurwysynu?” tylko wydobył
Jęki, rżenia. A nóż, co zdołił
Do tego czasu tatulki rękę,

Przejąłem pewnie, by przerwać mękę.
I dla pomocy pierwszej niesienia
Niepostrzeżenie do ugodzenia
Nożem w brzuch tatki w afekcie doszło.
Osamotnienie mnie wtedy niosło,
Bo taty wina, żem już sierota,
Choć szedł w zaparte jak ten idiota,
Trafił w pieszczoty mej ciężkiej dłoni,
I zaraz po tym zdrój z jego skroni
Strumieniem farby trysnął gwałtownie.
Żeby uniknąć kontry raptownej,
Której doświadczyć mógłbym z rąk tatki,
Ciosem kolejnym za pamięć matki
Mojej kochanej oraz za babkę
Mózg mu utlukłem na krwistą papkę.
Jedno zaś tylko zadrą w me serce
To zaniedbanie kluc będzie wielce,
Gdym, ojca bijąc, pieska krzywd mego
Nie wspomniał wtenczas; żal mi dlatego,
Żem go nie pomścił, gdy piszczał wczoraj,
Kiedy go ojciec wrzucił do wora.
Biedaczek na wspak w panice chodził,
Dodam, że bydlak trzy dni go głodził;
Z miski do żarcia zrobił wychodek.
Sił żem miał wtedy, by gówna spodek
Trafił mu tylko w ryj rzutem celnym,
Gdy tylko ojciec zrobił go pełnym.
Teraz więc pozbyć trupa się z domu
Oraz szkiel muszę, a czynić komu
By się to chciało, gdy z zewnątrz wspólnie
Tramwajów zgrzyty z szeptu potulnie
Plantów płynęły melodią taką:
«Z kamienic rzędów podobnych wrakom
Statków pirackich psów chmara wściekła
O barwie tęczy szybko wybiegła.
We wrzasku słychać wycie znajome.
To pies Jacusia stał się już wodzem
Włochatej bandy i ze śmietnika,
Na który susem wskoczył z chodnika
Ujada w cudzej i w swej intencji,
Dając tym samym upust pretensji
Kapciem po grzbiecie bitych zajadle,
Gdy zwiną z kuchni świńskie podgardle.

Z człowiekiem rozbrat bez odwołania
Bierze nieczulym na od zarania
Dziejów relację w podaniach snutą,
Pieśniami czczoną i w brązie kutą».
Kiedy do uszu Majtka dobiła
Melodia z miasta, wnet myśl spowila
Jacusia głowę, by wśród tych dźwięków
Znaleźć do psa trop bez żadnych względów.
Wybiega Jacuś w rumor uliczny,
Przechodniów trąca i choć cyniczny
Być się wydaje, to tak na serio
Za psem jest uczuć pchany feerią.
Tęsknota, smutek i wizja straty
Czynią go zgola innym od taty.
Maryi Matce bliskim, co więcej,
Się staje Jacuś; bucha goręcej
Od niego żalem, gdy nieść modlitwie
Takiej się daje w miejskiej gonitwie:



„Trzymać na rękach Dziecko Boże
Wodza narodów i ścięte zboże.
Smukłego chłopca danego Słowem.
Ofiarę ludu i dojną krowę.
Trzymać i płakać nad swą niedolą,
Straconym życiem i Boską Wolą,
Żydowskim prawem oraz samotnią,
Licho się tłącą tu się pochodnią.
Płakać i wołać do Boga Ojca,
Matek wyrodných, których płacz z kojca
Dzieci zaszczanych wcale nie zmieni,
Do katów, co łzom są głuchoniami.
Wolać i jęczeć, od lez się ciężkich
Kropel zanosząc, w obliczu kłęski,
Tłumionym żalem, bolącą duszą,
W chusteczki ściegach swe oczy susząc.
Jęczeć i cierpieć, lejąc lez morze,
Tuląc się w zwłoki, w ślepej pokorze,
Przez którą greeting anioły ślaly,
Od ran ukutych w marmurze białym.
Cierpieć i krwawić ranami syna,
Wybroczynami koloru wina,
Sercem pękniętym, blizną w przegubach,
Gwoździem szarpaną, ostrym bólem, ach!?”
I rozedrgany mieszanką wrażeń
Z dotychczasowych fatalnych zdarzeń,
A także kłębem myśli o psiaku,
Błądzi po mieście z poszlaki braku.
Wchodzi przypadkiem do stojącego
W korku tramwaju, na groźącego
Pięścią przechodnia, którego wcześniej
Popchnął w pośpiechu, biegnąc po mieście,
Nie zwrócił nawet swojej uwagi,
Bo wkroczył Jacuś w świat pelen magii.
W kłębie utkanym dymem Pall malli
Jawi się zarys białych koralu
Na szyi smukłej luźno wiszących.
Potem woń perfum zewsząd bijących
Zdradza obecność smutnej kobiety
Myślą zajętej – a nie kokiety.
– „Hej, mały!” – woła, a wzrokiem błądzi
Po siedzeń rzędzie, oczy jej mąci
Żalu lza gorzka. – „Dokąd Ci śpieszno?”

Drogę zgubiłam, głupio tak, wiesz no.
Jadę bez celu, a dostać się chcę
Do cyrku «Patol», ibią swą mknę
Zwykle tam co dzień, bo bawię gawiedź,
Na linie skacząc. Zobacz sam, zajedź.
Zapomnisz prędko o trosk dnia skazie,
Jestem spóźniona, mam auto w gazie,
Na przegląd grata dziś odstawiłam,
Ja się natomiast nie przedstawiłam.
Jestem Irena, chodź no tu do mnie”.
– „Jam Jacuś Majtek” – „Trochę frywolnie,
A któż to imię takie Ci nadal?”
– „To tatki wina, on to wykradał
Mamie na moje rychle przybycie
Ciulane przed nim pieniądze skrycie.
Drobne na kaszkę, kolyskę, leki,
Pieluchy oraz ciuszki, co ścięgi
Wzorzyste mają, podły drań wydal.
I majtek parę do dziś za przydział
Skromny i wiano mieć mi przypadło”.
– „Nadal je nosisz?” – lico jej zbladło,
Gdy pąsem oblan ze wstydu Jacuś
Tłumaczył się więc, jaki tam pracuś
Z niego jest jeszcze; na nową parę
Nic nie zarobi, że prędzej karę
W sądzie nieletnich za szwarce arbeit
Dostanie pewnie, że życie to fajt
Jego jest z ojcem i że nikt prawa...
– „Dobrze, już dobrze, strasznie nudnawa
Jest twa historia, bo wiesz, ja w cyrku,
Na linie skacząc, pelno już świrków
Z przeszłością różną poznałam takich:
Cwele, złodzieje, podle lajdaki,
Mordercy, chlory, dziwkarze, szuje,
Wykolejeńcy i podle chuje.
Wiedzione życie przez nich dotychczas
Pachnie jak wszystek występku wykaz.
Jeśliś jest gotów, to Ci opowiem,
Jednak mi pokaż, bo nadal nie wiem,
Jak do «Patola» dostać się mogę?”
– „Pierwszy raz slysę, choć przez próg noge
Twojego cyrku chętnie przelożę”.
– „Na nic twa pomoc i jak ja, Boże,

Na próbę na czas mam się pojawić,
 Żeby widownię w paraliż wprawić?
 Dziwne to miasto z tą puchą mknącą,
 Co chwilę staje, a ja gorącą
 Chęcią zjawienia się już na scenie
 Wewnątrz się palę. To nie są brednie,
 Że chcesz obejrzyć popisy nasze?
 Wprawdzie już pora, tak mówi gwaszem
 Plakat malowan”. – „Nie widzę, gdzie on?” –
 – Głowę odwrócił i trochę złęknion
 Ujrzał na szybie poster ze słoniem,
 Lwem oraz strusiem, wyciągnął dlonie,
 By się przekonać, czy to nie złuda.
 Ściągnął więc plakat, wtem małpa ruda
 We wściekłych płasach susa zniecka
 Zrobiła prężnie na głowę Jacka.
 Pozbyć się chłopiec małpy próbował
 Na chybił trafił, ale spudłował,
 Gdy zamach głową o trapez zrobił.
 – „Przekłete zwierzę!” – a guz ozdobił
 Głowieńkę moją, ten trapez skąd tu?
 Wziął się on znikąd, wyjęty ze snu?”
 Wierząc ślepo, w potknięciach wielu
 Zwiedzał jadący tramwaj bez celu
 I zdjęty lękiem, że dotąd bliski
 Pojazd z dziewiątką zwrot na Kaliski
 Dworzec przyjmuje. Razem z zakrętem
 W Gdańską ulicę pada jak prętem



W nogi uderzon i na myśl przyszły
Mu ojca razy, lecz zale przysły,
Gdy mokry jęzor na stopie poczuł.
To lew z plakatu. Plamka na kroczu
Ze strachu przed lwem na Jacka portkach
Się pojawiła. I tylko „Och, ach!”
Z ust się wyrwało chłopcu, co naraz
Z ziemi się podniósł. Małpa też zaraz
Skoczyła chyłkiem, łapiąc za kłamkę
Sterczącą z góry, znoju ułamkiem
Okno na oścież w dachu rozwarła,
Przez nie wybiegła i mocą gardła
Polesie jękiem całe objęła.
Lwa ta afera wkurwem przejęła
I ryknął gniewnie, jęk małpi bijąc.
Gapie zdziwienia jawnie nie kryjąc,
Tramwaj przecięli wzrokiem od razu.
Gość jakiś autem, mimo zakazu,
Wyjechał z piskiem w stronę tramwaju,
Mknął tak beztrosko jakby na haju.
Podkręcił głośnik i z radia znana
Piosnka leciała przez zespół grana,
Który atrakcją dnia na posterze
Przedstawion został. Oto w eterze:
„Z butelek barwnych w kalejdoskopie
Widać jak ktoś tam menela kopie.
Kopie i pluje w bramie zaszczonej,
Ktoś tam ucieka, menel zostaje.
Po peta łapą z chodnika sięga.
A na niej blizna i sina pręga.
Nie myśli o tym, że ledwo dycha.
Zaciąga się nim i ostro prycha.
Zamiast „Ratunku!” krzyknąć „Pomocy!”
Pozwala śmierci zajrzeć w swe oczy.
Kiedy kostucha swe powinności
Czynić zaczęła, o wielkie mdłości
Fetor menela wnet ją przyprawił.
– „Jak stara jestem, żaden nie strawił
Mych nozdrzy jeszcze odór piekielny.
Od czarcich bąków z głębin podziemnych,
Cerberzych klocków, Syzyfa potu
Tak nie ciągnęło mnie do wymiotów –
Jak od twojego ciała fetoru.

Nic już tu po mnie. Nabrać koloru
I tlenem świeżym odetchnąć muszę,
Spadam, a Ty cierp tutaj katusze,
Czerwiom niestraszne truchła odory
Czynić im oddam swoje honory”.
Tak oto z śmiercią życia potyczkę
Menel wygrywa, potem w uliczkę,
Gdy tylko powstał i się otrzepał,
Krokiem, co trochę mu się pojebał,
Bo miast na zmianę iść: lewa, prawa,
Postąpił przed się, aż nagle czkawa,
Zwrot mu do tyłu o krok zmieniła.
Prędkość się auta nagle zwiększyła
Aż oczy gapie z lwa pościgali
I, myśląc sobie, że postradali
Ci dwaj kierowcy swych zmysłów resztki
Włosy rwać gapie po same mieszki
Zaczęli w strachu przed kraksą straszłą.
Mkną dwa ku sobie ulicą ciasną
Czołem naprzeciw pojazdy tnące
Smugą powietrze i tylko tłące
Na ich krawędziach się cząstki jawią,
Które swym żarem nadwozia trawia.
Skrzą się kolejno: od farb czerwieni
Poprzez pomarańcz aż do żółtieni,
Po czym to głośny huk zrazu słyhać,
Jednak rozbitych części nie widać,
Bo chmura dymu niczym zasłona
Przykryła zajście i jakby z lona
Wylaniać się z niej wspólnie zaczęli
Dwoje grubasów, co się objęli,
By równowagę w pochodzie trzymać,
Podczas którego trzeba wydymać
Im brzuchy tłuste i szkłem po piwie
Żonglować zręcznie. Dalej w porywie
Za nimi idzie luj smrodem tchnący,
Stadkiem pcheł własnych po łbie skaczących
Się popisuje, drogę toruje
Dresom, co w czwórkę, jak głupie chuje,
Piłkę do siebie kopią z kolanka.
Za nimi Sebek, przed nim wybranka,
Dżesika, spieprza z razów śladami.
Odziana tylko lachów strzępami

Gwałtownie staje, stanowczym głosem
 Mówi donośnie, a nie pod nosem:
 – „O przed zachodem magicznej porze
 W betów refleksach wlał w nią swych morze
 Wrażień calusem i niesion dalej
 Chucią palącą, coraz zuchwalej
 Jej plecy pieszcząc, wzdłuż nich się zsunął
 I w bioder splocie w jej lędźwie runął.
 Jak ruchem tłoka napiera całem
 Potem zroszonym swym smukłym ciałem...”
 – „Do kurwy nędzy, do domu wracaj,
 Bo sterta garów już się przewraca!” –
 – Słyszysz Dżesika od Sebka swego.
 Z jej karku kapciem krew trafionego
 Się wydobywa. Dżesika zrazu,
 Od bólu lkając, Sebka rozkazu
 Się nie ociąża spełnić sumiennie.
 Wkracza w idący pochód niezmiennie,
 Który dotychczas z Gdańskiej ulicy,
 Co szlak z niejednej to kamienicy,
 O bramach moczem i oknach dymem
 Znaczonych dawno (że nawet z Rzymem
 Równać się może), sklepowej budy,
 Banku i knajpy (z której woń wódy
 Jest zapowiedzią pijanych klientów,
 Którym wciąż mało we krwi procentów,
 Bo wyrzuceni na bruk kopniakiem,
 Leżą se na wznak pod stopu znakiem),
 I z niejednego parkingu także
 Miał ułożony. Procesja wszakże
 Idzie Zieloną, tratując ludzi,
 Drzewa i słupki. Minąć nie trudzi



Przeszkód się pochód. Oknami swymi
Patrzy z fasady kolorowymi
Liżniętych czasem, erozją, pleśnią,
Niedbalstwem, brudem, mieszkańców cieśnią,
Sznurek kamienic supłany wspólną
Mroczną historią, którą okólną
Nawet metodą żyjący jeszcze
Streścić się boją, tylko na deszcze
Ulewnie czekać trzeba, by zmyły
Brudy, co miasto to osławily.
Na tłum niejedna budowla patrzy.
W dachy zachodzą, plotą trzy po trzy
Rzucone w szereg ponad ulice
Z siwymi gzymсы te kamienice
O tym, co widzą: – „Ostatnio kiedy
To tylu ludzi między nas w rzędy
Dwa ustawione parło szalenie?” —
Żółtej budowli szept z drzwi waleniem
Się zbiegl sąsiadki, rolet ściąganie
Drugiej budowli wycisza zdanie:
„To za komuny, gdy wysiedlone
Ludzi biegały tłumy szalone”.
– Poza wypadkiem auta z tramwajem
Nic się nowego nie dowiedziałem”. –
– Wspomniał beżowy świstem powietrza
Budynek pusty o pustych wnętrzach.
– „Czyżby więc ten huk sprzed kilku minut
To też był unfal, strzał jak z karbidu?” –
– Z bramy wyrwało się piętrowcowi,
Z której to dobiegl ujadąń skowyt.
[...]

Tekst jest fragmentem niepublikowanego utworu
Daniela Kamockiego *Patoemat*
Ilustracje: Daniel Kamocki